Głupi kaowiec?

Domy kultury są reliktem komuny. Często słyszy się taki sąd z ust tych, którzy chcą zdyskredytować sens istnienia tego typu instytucji. Podobnie jak w przypadku służby zdrowia czy szkolnictwa wyższego mamy tu do czynienia z podobnymi patologiami transformacji. Czy w związku z tym należałoby je zburzyć i zaorać? No nie.

Domy kultury są spuścizną polityki kulturalnej PRL, jednym z jej największych osiągnięć. Od kilkuset lat rozwój i modernizację, istotę cywilizacji po prostu, rozumiemy jako zapewnienie, niezależnie od kosztów, możliwie największej liczbie osób dostępu do leków, komunikacji, edukacji, kultury itd. Takie myślenie było jedną z niezaprzeczalnych wartości „poprzedniej epoki". I wbrew poglądom różnych Balcerowiczów sektora kultury najlepszym wyjściem nie jest likwidacja. Podobnie jak nikt rozsądnie myślący nie będzie postulował wycofania się państwa z obszaru zdrowia czy szkolnictwa wyższego, tak samo bez wsparcia państwa kultura sobie nie poradzi. Wszyscy jednak wiemy, że działanie wielu publicznych instytucji daleko odbiega od stanu pożądanego. Co z tym zrobić? Prostych recept nie ma, ale z pewnością dobrym punktem wyjścia przemyśleń nowej formuły działania jest przypomnienie, skąd się tego typu instytucje wzięły. Bo jeśli chodzi o sieć placówek kultury w Polsce, to żyjemy w świecie po katastrofie. Wraz z upadkiem PRL porzucono obowiązującą politykę kulturalną, pozostawiając podmioty, które miały ją realizować. W efekcie mamy masę instytucjonalnych żywych trupów, które jedynie udają, że istnieją. Nie bardzo jednak wiadomo po co.

W PRL funkcję domów kultury określono bardzo wyraźnie. Miały być odpowiedzią na ówczesne wyzwania cywilizacyjne, stanowiły mały trybik w machinie wspierającej awans społeczny i kształtowanie obywateli wyznających pożądane wartości. I to nie było takie głupie. Poprzedni ustrój stworzył sieć instytucji, które miały być „blisko człowieka" – domy kultury, świetlice, kluby, domy ludowe, pomieszczenia w remizach strażackich, kluby prasy i książki, ośrodki „Praktyczna Pani", modelarnie, kluby NOT, kluby rencistów… W latach 1945-1975 powstało 25 tysięcy różnych instytucji kulturalnych – średnio 806 rocznie. W 1972 roku działało 821 domów kultury. Samodzielne podlegały bezpośrednio Ministerstwu Kultury i Sztuki, zakładowe prowadzone były przez związki zawodowe. Jak możemy przeczytać w zapomnianych dziś publikacjach Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury, do funkcji domów kultury należało:

– propagowanie socjalistycznej ideologii i socjalistycznego stylu życia
– stwarzanie warunków do realizacji aspiracji kulturalnych jednostek i grup społecznych
– dostarczanie bodźców i możliwości wszechstronności rozwoju jednostki ludzkiej
– zaspokajanie różnorodnych potrzeb społecznych związanych z organizacją czasu wolnego.

Odmieniane wówczas przez wszystkie przypadki „upowszechnianie kultury" (do dzisiaj dosyć bezrefleksyjnie używane w różnych dokumentach urzędowych organizujących życie kulturalne) dotyczyło trzech aspektów. Po pierwsze świetnie, chyba dużo lepiej niż dzisiaj, zdawano sobie sprawę, że kultura to sfera wartości. Idea domów kultury miała charakter zasadniczo humanistyczny, a kultura była „instrumentem wychowania nowego człowieka". Po drugie, chodziło o dekomercjalizację, czyli uniezależnienie dostępu do kultury od posiadanych środków ekonomicznych (zaskakująco aktualnie brzmią ówczesne rozważania na temat natury dotacji jako formy zakupu nierentownej ekonomicznie usługi/produktu przez państwo dla obywatela). Z tym związany jest trzeci aspekt, to znaczy zapewnienie oferty spędzania czasu wolnego dla wszystkich. Stąd wynikały zadania domów kultury polegające na wspieraniu amatorskiego ruchu artystycznego, działalności polityczno-edukacyjnej, oświatowej, upowszechnianiu dorobku kulturalnego (nauka, sztuka, technika), rozwijaniu aktywności hobbystycznej, wypoczynkowej, turystycznej i działalność

opiekuńczo-wychowawcza. Trzon stanowiła organizacja imprez rozrywkowych, przeglądów, konkursów, festiwali, kółek, ognisk, wycieczek itd.

Po 1989 roku cała ta machina publicznych funkcji kultury legła w gruzach, a domy kultury zostały sierotami po polityce kulturalnej PRL. Wraz z państwowymi zakładami zniknęły zakładowe ośrodki kultury, a nadzór nad pozostałymi przerzucono z ministerstwa kultury na samorządy, które nie tylko nie wiedziały, co z nimi zrobić, ale też nie miały na to pieniędzy. Kształtowanie „człowieka socjalistycznego" wykreślono ze statutów, pozostawiając „upowszechnianie kultury" jako wydmuszkę pozbawioną jakiejkolwiek treści. Stara wizja została porzucona, nie zaproponowano żadnej nowej. Oczywiście, generalizowanie bywa niebezpieczne i niesprawiedliwe, ale uzasadnione wydaje mi się stwierdzenie, że domy kultury zostały z archaiczną strukturą organizacyjną i niedzisiejszymi formatami kulturalnymi. Sprawozdania z działalności wypełniają kółka plastyczne, wieczorki poetyckie, konkursy recytatorskie, a dziurę budżetową łata się wynajmowaniem sal, organizacją imprez zleconych przez polityków i organizatorów komercyjnych przedsięwzięć oraz pozyskiwaniem dotacji unijnych na często dyskusyjne inwestycje. Co więcej, Internet i każde większe centrum handlowe jest w stanie zapewnić bardziej atrakcyjną ofertę na spędzanie wolnego czasu niż domy kultury, a organizacje pozarządowe lepiej radzą sobie z wykorzystywaniem nowoczesnych narzędzi i docieraniem do ludzi. Skoro domy kultury w dużym stopniu kanalizowały dotąd aktywność społeczną w tej sferze, to dzisiaj często postrzegają organizacje pozarządowe jako rywali.

Stereotypowy dom kultury to zakład pracy, w którym pensja może i niska, ale stabilna, a poza tym fajrant o 16, wczasy pod gruszą i precyzyjnie wyliczane nadgodziny. Tutaj ciszę pustych zazwyczaj korytarzy czasami zagłusza harmider szkolnej klasy spędzonej na jakieś wydarzenie, którego głównym celem jest możliwość późniejszego wpisania go do sprawozdania z działalności. I jakoś to się kręci, „zawsze bowiem coś się robi i zawsze się można czymś wykazać". Taka sytuacja jest szczególnie irytująca dla przedstawicieli trzeciego sektora. W systemie projektowo-grantowym o podobnej stabilności życiowej można tylko marzyć. Tym bardziej boli, że ten potencjał nie jest wykorzystywany i rozpływa się w organizacyjnym marazmie. Sam ze swojej krótkiej przygody z domem kultury zapamiętałem dwa zdania powracające jak mantra: „To nie należy do moich obowiązków" oraz „Potrzebuję pisemnego polecenia od dyrektora".

Nie ulega jednak wątpliwości, że domy kultury to wielka wartość i wielki potencjał do wykorzystania. Dysponujemy nadal stosunkowo gęstą siatką instytucji użyteczności publicznej o względnie stabilnej sytuacji finansowej, które pozostają blisko wspólnot lokalnych i które mogą działać poza sferą rynku. Trzeba o to dbać. Najważniejsze, by na nowo wyartykułować wartości, które nadadzą nowy sens tym budynkom. Pojawiają się ciekawe pomysły i nie mam tu miejsca, aby je szczegółowo przywoływać (polecam chociażby lekturę raportu „Zoom na domy kultury" przygotowanego przez Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę" [www.zoomnadomykultury.pl]). Podkreślę tylko, że w kulturze chodzi nie tyle o poezję, teatr czy malarstwo, co o przekraczanie ograniczeń, rozwijanie zdolności, a przede wszystkim – o nawiązywanie więzi z innymi ludźmi, bo z tym – jak pokazują diagnozy socjologiczne – jest bardzo słabo. Dziś też potrzebujemy kaowców